



HOMOFIL

PATENT

Napisał: Jacek Sawaszkiewicz

Ilustrował: Marian Stachurski

Brogazzi na nowo przygotowywał się do rozmowy z tym kimś, kto pracował za drzwiami opatrzonymi numerem 107. Krzątający się po gmachu urzędnicy mijali go obojętnie, przyzwyczajeni do wszelkich dziwactw ściągających tu interesantów, ale Brogazziemu wydawało się, że śledzą każdy jego ruch. Ze sto razy przemierzył w tę i z powrotem wysoki, mroczny hol Urzędu Patentowego, nim zdecydował się wejść.

W pokoju, zbyt dużym jak dla jednego pracownika, znajdowało się biurko, kilka niedbale rozmieszczonych foteli, skromny regał. Urzędnik stał przed oknem. Na odgłos otwieranych drzwi odwrócił się i Brogazzi zobaczył jego twarz: puciołowatą, lśniąca, o oczach ciemnych i głęboko osadzonych. Gdzieś już ją widział.

– Witam pana. Nazywam się Laterno i jestem kierownikiem Medycznej Komórki Wynalazczej. Zechce pan usiąść.

Urzędnik obszedł biurko, ustawił naprzeciw siebie dwa fotele, zajął jeden. Następnie otworzył pudełko z cygarami. Brogazzi odmówił.

– A może kieliszeczek koniaku albo filiżankę herbaty? Pan się dziwi tej gościnności, ale proszę mi wierzyć – każdy pomysłodawca jest dla nas na wagę złota. To taki stary związek frazeologiczny, lecz nic w nim z przesady. A tak na marginesie: pan jest lekarzem?

Brogazzi najeżył się. Drażniły go tego rodzaju pytania.

– Laborantem – mruknął. – Mimo to...

– Naturalnie – wtrącił szybko Laterno. – Wykształcenie nie zawsze ma wpływ na proces wynalazczy, przy czym przez słowo „wpływ” rozumiem pomoc i przyspieszenie; niejednokrotnie wręcz niszczy wrodzone zdolności, nawet talent. Mniemam, że i w pana przypadku jest podobnie – to znaczy, dzięki wrodzonym zdolnościom właśnie, wpadł pan na niezwykle frapujący pomysł.

– Powiedzmy: ciekawy pod niektórymi względami.

Laterno rozparł się w fotelu i zapalił cygaro. Wyglądał jak człowiek, który przed chwilą otrzymał wiadomość, że jego akcje podskoczyły o 50 procent.

– Posłucham z prawdziwą przyjemnością. Brogazzi potarł brodę w zadumie. Nie bardzo wiedział, od czego zacząć.

– Skierowała mnie tutaj Komisja Medyczna – powiedział. – Tydzień temu przedstawiłem tamtym panom ogólne zarysy mego wynalazku. Szczegółów nie mogłem im zdradzić bez uprzedniego uzyskania pewnych gwarancji dotyczących przyszłego wykorzystania „Homofilu” – tak go nazwałem. Z kolei Komisja Medyczna odmówiła mi udzielenia takich gwarancji przed poznaniem szczegółów. Koło się zamknęło. Jeden z tamtych panów prywatnie poradził mi przyjść tutaj. Więc jestem.

– Tak, tak... A co w ogóle może pan powiedzieć na temat tego... „Homofilu”?

– Wiele rzeczy, ale... Widzi pan, idea „Homofilu”, jak to bywa z większością wynalazków, zrodziła się z potrzeby. Elektrofizjologowie, o czym pan zapewne wie, bez trudu wywołują w istotach posiadających mózg, przede wszystkim w człowieku, dowolne uczucia na sygnał radiowy. Ich urządzenia – głównie ostatnio skonstruowane, pozwalające na kierowanie ludzkim zachowaniem bez konieczności umieszczania w mózgu odpowiednich elektrod – wykorzystywane są w kołach militarnych. Dokładniej – w armii. Popęd agresji, wywołany takim urządzeniem, może spowodować, że najczulsza matka, będąc całkowicie przekonana, iż działa zgodnie z własną i nieprzymuszoną wolą, z zimną krwią zamorduje swe ukochane dziecko. Chyba pan rozumie, jakie to ma znaczenie dla dowódcy kierującego oddziałem wojska. Wystarczy przycisnąć guzik, żeby pułk, dywizja czy armia rzuciła się z autentyczną nienawiścią na wroga. „Homofil” natomiast – Brogazzi uśmiechnął się zjadliwie – jest kopniakiem dla żołdaków wymagających od podwładnych ślepego posłuszeństwa. Zresztą nie tylko... Jest to środek, który może zbawić ludzkość... – Zamyślił się na chwilę, po czym dokończył szeptem: – Dlatego chciałbym mieć pewność, że tej rozmowy oprócz nas nikt nie słucha.

Laterno zatrzepotał powiekami.

– Wszak jesteśmy... Ach, pojmuje. Mówi pan o ukrytych mikrofonach, nadajnikach i tak dalej. Nie, panie... Panie...

– Brogazzi.

– Panie Brogazzi. To zupełnie wykluczone. Ten gmach, chociażby z uwagi na charakter przeprowadzanych w nim...

– Ten gmach, właśnie z uwagi na charakter przeprowadzanych w nim spraw, które miał pan na myśli, jest szczególnie narażony na wszelką działalność szpiegowską. Ponadto ostatnio wykryto aparaturę podsłuchową nawet w tajnym gabinecie premiera...

Laterno umoczył wargi w herbacie. Uśmiechał się jak ktoś, komu udało się oszukać cały świat.

– To nie wszystko – dokończył za Brogazziego. – Podejrzewam, że w gabinecie, o którym pan wspomniał, nadal znajdują się urządzenia wywiadowcze. Dodam też, aby udowodnić panu, że nie lekceważę niczego i jestem facetem niezłe oblatanym w temacie, iż nie istnieje na Ziemi – Układ Słoneczny zostawiam w spokoju – obiekt, w którym, jeśli jest godny zainteresowania, nie pracowałaby aparatura szpiegowska. Oprócz... Oprócz, drogi panie, budynku Urzędu Patentowego. I nie są to czcze przechwałki. W końcu przez nasze ręce przechodzą dokumentacje różnego rodzaju wynalazków i nam przysługuje prawo pierwokupu. Toteż kiedy pewnego dnia, nikomu nie znany, skromny student przyniósł do nas projekt przyrządu zdolnego wykryć absolutnie każde urządzenie szpiegowskie w promieniu stu metrów, niezwłocznie skorzystaliśmy z okazji. Dzięki temu przyrządowi wiem, że ma pan przy sobie mikronadajnik.

Brogazzi otworzył szeroko oczy.

– Nie twierdzę, że przyszedł pan z nim celowo – rzekł Laterno. – Prawdopodobnie ktoś ciekawy, kierując się motywami, których nie znam, zadbał o to, aby miał pan przy sobie takiego miniaturowego szpiega. I lichy wie, czy chodziło temu komuś o pana, czy też o mnie.

Brogazzi spojrzął po sobie, przeszukał kieszenie. Laterno patrzył na niego niemal ze współczuciem.

– To może być guzik, spinka przy mankiecie lub zapięcie przy pasku od zegarka.

– Zaraz! – Brogazzi wyłowił z kieszeni pier-

ścień. – Podarowałem go przed miesiącem dziewczynie, z którą jestem... byłem zaręczony. Znalazł się dzisiaj w skrzynce na listy. Nie mam pojęcia, dlaczego zwróciła... – powiedział zawstydzony.

Laterno obrócił w palcach pierścione. Przyjrzał mu się dokładnie.

– Istotnie – mruknął. – Należało się tego spodziewać. Unieszkodliwimy? Proszę się nie obawiać, pole magnetyczne zniszczy tylko zawartość. Nie czekając na pozwolenie, wyszedł z pokoju. Po pięciu minutach siedział znowu w swoim fotelu i sączył herbatę.

– Jak pan widzi, niepożądanych słuchaczy załatwiamy expedite i explicite. Oczywiście pańska narzeczona jest w porządku. Mamy tu do czynienia z ingerencją obcej osoby. To znaczy – mieliśmy.

Przez chwilę milczeli. Brogazzi zastanawiał się nad przerwany wątkiem.

– Mówiąc o niebezpieczeństwie podsłuchu – zaczął – myślałem przede wszystkim o ludziach zatrudnionych w Ministerstwie Wojny. „Homofil”, jeżeli zostanie zastosowany zgodnie z moimi wskazaniem, będzie dla nich solą w oku, rzekłbym – wręcz pozbawi tych ludzi obecnej pracy. Innymi słowy, Ministerstwo Wojny przestanie istnieć z braku potrzeby, jeżeli kiedykolwiek istniała taka potrzeba.

Laterno poruszył się, ale nie rzekł ani słowa. Słuchał w skupieniu.

– Idea „Homofilu” jest prosta – kontynuował Brogazzi. – Zażyte choćby nieporównywalnie małej dawki tego środka stwarza w psychice człowieka stałą blokadę popędu agresji. Agresji często atawistycznej, odziedziczonej po przodkach. Muszę się od razu przyznać, że nie miały wpływ na moje dociekania miała, zainspirowała mnie niejako, książka pt. „Zarys etologii”, którą ostatnio czytałem – przyznam, że z konieczności – bowiem przygotowuję się do egzaminów na wyższe studia. Przedstawiony w tej książce mechanizm działania agresji wewnątrzgatunkowej okazał się szczególnie interesujący. Natura obdarzyła tą agresją zwierzęta, głównie po to, by jako jeden z ważniejszych selektorów dopuszczała do rozmnażania się jedynie osobników najsilniej-



szych, najbardziej inteligentnych i najlepiej przystosowanych, słabszych zaś skazywała na samotnicze bytowanie i ustępowanie we wszystkim swym dorodniejszym pobratymcom. Kłamstwem natomiast jest, że natura w sposób kategoriyczny pozbawia kogoś prawa do życia, bo wraz z agresją wewnątrzgatunkową wyposaża zwierzęta w instynktowne hamulce wyłączające tę agresję w pewnych wypadkach. Rzech jasna, że agresja wewnątrzgatunkowa, jak i jej hamulce rozwinięte są daleko słabiej u zwierząt usposobionych z natury pokojowo, niż u drapieżnych. I właśnie u tych pierwszych, jeśli stworzyć im anormalne warunki egzystencji, dochodzi do walk kończących się zwykle śmiercią, gdyż pobudzonej wypaczonymi eksperymentalnie warunkami agresji nie przeciwstawiają się prawie żadne hamulce, już z góry ustalone przez naturę jako szczątkowe. Na szczęście wypadki te zdarzają się wyłącznie, jak już nadmieniałem, w stacjach doświadczalnych. W przypadku drapieżników jest nieco inaczej. Łatwy do przewidzenia byłby los zwierząt, powiedzmy, z rodziny kotów, gdyby pozbawiono je nagle mechanizmów hamują-

cych. Niech pan spyta, obojętnie którego, hodowcę łasic, lisów czy nutrii, jak zareaguje matka karmiąca małe, kiedy coś ją przerazi i kiedy wspomniane mechanizmy hamujące zawiodą. W farmie ojca mojego kolegi, gdy piorun uderzył opodal zabudowań, cztery lisi-ce pozagryzały swoje mioty. Dlatego natura ze specjalnym pietyzmem zadbała, by zwierzęta uzbrojone w kły i pazury miały wyjątkowo potężne hamulce.

Laterno odstawił opróżnioną filiżankę. Nie spuszczał wzroku z Brogazziego.

– Uruchomienie tych hamulców następuje różnie u różnych zwierząt. Dla przykładu posłużę się tutaj psami. Gdy na swej drodze staną dwaj rywale, to oczywiście rozgorzeje między nimi walka. Zacznie się wpieryć od poznawania sił i możliwości przeciwnika, a więc wzajemnej prezentacji zębów i zjeżonej sierści, inaczej mówiąc – od przyjęcia postaw grożąco-imponujących, używam słownictwa obowiązującego w etologii – żeby, w miarę jak budzi się agresja wewnątrzgatunkowa, przejść do ataku. Na ogół już po wymianie kilku

ukąszeń obaj konkurenci wiedzą, który z nich w końcu ulegnie. Słabszy ma zatem czas, aby w porę się wycofać. Gdyby nie mechanizm hamujący, los jego byłby przesadzony, w sukurs jednak przychodzi mu dalekowzroczna natura. Żeby uniknąć niechybnego rozszarpnięcia, wykonuje gest pokory, zwany inaczej gestem pojednania: rytualny ruch powodujący w przeciwniku zahamowanie agresji. W omawianym przypadku słabsze zwierzę nadstawia pod szczęki silniejszego najbardziej czułą i podatną na zranienie część swego ciała: bok szyi, gdzie przebiega tętnica główna. Jest to tak potężny bodziec hamujący, że atakujący z całą gwałtownością przeciwnik staje jak wryty, i dopóki ma przed nosem żebrzącego o łaskę rywala, dopóty jest bezsilny. Co najwyżej może wyladować złość na leżącym obok kawałku drewna. Ale nie jest to regułą...

Spoglądali na siebie. Laterno poprawił się w fotelu.

– Świetnie – rzekł. – Zrobił mi pan wykład z etologii, ale doprawdy nie rozumiem, jaki to ma związek z pańskim...

– Przechodzę do meritum – oświadczył Brogazzi. – Chodziło mi o określenie człowieka zarówno pod względem agresji, jak i jej hamulców. I wie pan, co stwierdziłem? Że należymy do gatunku zwierząt pozbawionych naturalnej broni w postaci kłów czy pazurów, dlatego też agresja wewnątrz nas oraz mechanizmy hamujące są w zaniku. Gdybyśmy bytowali w normalnych warunkach, oba te elementy nie byłyby nam do niczego przydatne. Ale tak nie jest. Stworzony przez nas świat jest światem wypaczonym. Szczujemy się wzajemnie, agresja wewnątrzgatunkowa wzrasta, a hamulców nie ma. Dodatkowo – i tego natura także nie przewidziała – zdobyliśmy broń, jaką nie dysponowało żadne zwierzę; broń, która zdolna jest unicestwić nawet jej właścicieli. – Brogazzi zawiesił na chwilę głos. – Dlatego, panie Laterno, skoro wymyśliłmy już arsenały mogące efektywnie rozładować sztucznie podsycaną w nas agresję, należało jeszcze wymyślić skuteczne hamulce. „Homofil” jest właśnie katalizatorem powodującym powstanie w psychice ludzkiej mechanizmów hamujących. Jednorazowa dawka wystarcza do koń-

ca życia, a dawka ta może być mniejsza niż homeopatyczna. Wie pan, jak niegdyś postępowali homeopaci? Specyfik, którego chcieli użyć jako lekarstwa, maksymalnie rozcieńczyli. Wlewali na przykład probówkę driakwi do wiadra wody, z tego wiadra brali kroplę i umieszczali ją w drugim wiadrze, z którego znów pobierali kropelkę, żeby wpuścić ją do trzeciego i tak dalej. Wreszcie w którymś z kolejnych wiader driakiew była tak rozcieńczona, że właściwie niewykrywalna. „Homofil”, choćby pobrany z setnego wiadra, zachowa pełną aktywność. Ponadto nie traci jej po przygotowaniu wody, nie można go odfiltrować ani zniszczyć obojętnymi dla zdrowia ludzkiego środkami.

– Jednym słowem, po zażyciu pańskiego „Homofilu”, człowiek zachowuje się jak pokorny baranek?

– Tego nie powiedziałem. Choleryk, choćby wypił i litr „Homofilu”, zostanie cholerykiem, a jeśli planował zbrodnię, będzie to robił nadal. Co więcej, dokona jej, jeżeli planowana ofiara nie uczyni gestu pojednawczego.

– A jeśli taki gest uczyni?

– Wtedy odezwą się mechanizmy blokujące, które niedoszłego mordercę rzeczywiście zamienią w pokornego-baranka. Trochę jak w bajce...

– Czy ten gest... pojednawczy jest bardzo skomplikowany?

– Niestety, zarówno gest pojednawczy, jak i skład chemiczny „Homofilu” są szczegółami, których...

Laterno poderwał się. Raptownie i niespodziewanie przystąpił do natarcia. Jak gdyby naraz zrzucił owczą skórę. Powiedział twardo, przedrzeźniając Brogazziego:

– Zarówno gest pojednawczy, jak i skład chemiczny „Homofilu” są szczegółami, które znamy, drogi panie. Przed chwilą nasza ekipa zakończyła rewizję w pańskim domu!

Brogazzi osupiał.

– Jak pan śmiał, panie Laterno...

– Nie jestem żadnym Laterno! – warknął mężczyzna. – Rozmawia pan z generałem Pinebergiem, przedstawicielem Ministerstwa Wojny. Nasi ludzie z Komisji Medycznej już od dawna mieli pana na oku. Jeszcze dzisiaj



zrobimy porządek z panem i pańskim idiotycznym „Homofilem”!

Brogazzi wstał. Powoli przychodził do siebie.

– Zapomniałem panu powiedzieć o jednej rzeczy – oznajmił z zimną satysfakcją. – Otóż na początku naszej rozmowy, kiedy stwierdziłem, że jestem laborantem, nie wyjaśniłem, że pracuję w Laboratorium Stacji Uzdatniania Wody. Od trzech dni, tytułem próby, samowolnie i bez niczyjej wiedzy... dodawałem do zbiornika komunalnej sieci wodociągowej odrobinę „Homofilu”. Eksperyment ten dał pomyslnie wyniki...

Generał spurpurowiał.

– Ty... ty kanalio... Ty... – zaczerpnął powietrza. – Aresztować go! – ryknął.

Do pokoju wpadło dwóch uzbrojonych cy-

wilów. Chwycili Brogazziego za ramiona. Szarpnął się do tyłu.

– Niechże mi wolno będzie pożegnać się z panem generałem – rzekł.

Następnie niemal teatralnym gestem złożył ręce na piersiach i wykonał głęboki, pełen szacunku ukłon w stronę Pinneberga.

Szepnął:

– Proszę wybaczyć.

Generał oniemiał. Jego przerażony wzrok padł na filizankę po herbacie.

– Czy mogę odejść? – spytał cicho Brogazzi.

– Ależ naturalnie... proszę... uprzejmie...

– wyjąkał Pinneberg z trudem opanowując drżenie podbródka.

Gdy Brogazzi opuścił gabinet, po puciołowatych policzkach generała spłynęły gorzkie, pełne bezsilnej wściekłości łzy.